Rok IX. Dnia 21 Maja (2 Czerwca) 1888 r. № 22.

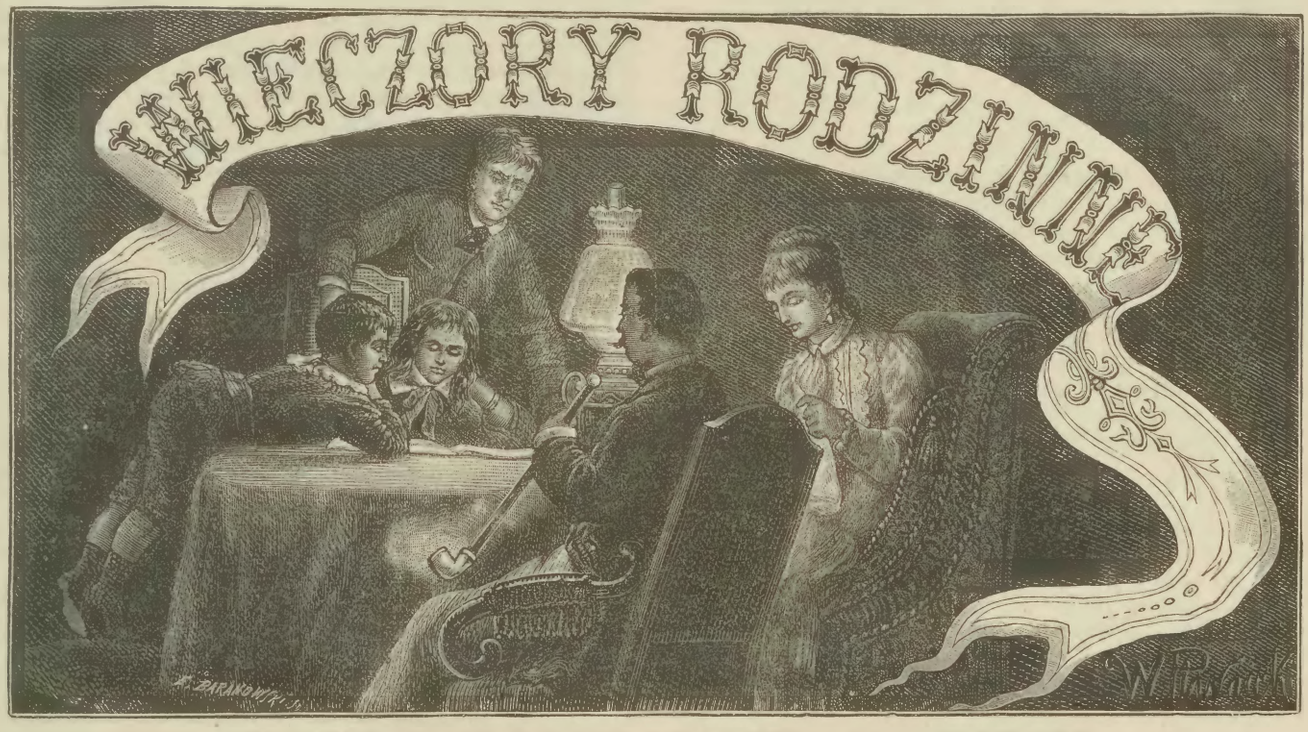

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

KORZENIE DZIWOSTRĘTU.

W południowéj Europie rośnie ziele z rodziny psiankowatych, zatem spokrewnione z tytuniem, kartoflem, a także z roślinami, do najgwałtowniejszych trucizn zaliczonemi, jak wilcza jagoda czyli *belladonna*, lulek czyli *hyoscyamus* i inne. Dziwostręt, według terminologii naukowéj *atropa mandragora*, posiada też same jadowite własności, oprócz tego zaś w starożytności jeszcze, a późniéj w wiekach średnich, przypisywano jéj różne czarodziejskie własności. Korzeń mandragory rozdwaja się widłowato, co przedstawia niejakie podobieństwo do nóg ludzkich. Z niewielką pomocą sztuki można mu nadać kształty, które widzicie na naszym rysunku.

Ta okoliczność wystarczała dla bujnéj wyobraźni ludzi dawniejszych, nieoświeconych. Do dziś nawet gmin w południowéj Francyi i we Włoszech wierzy, iż mandragora czarownicom do różnych guseł dopomaga. Ponieważ wyobrażano sobie, że roślina ta czuje, a nawet krzyczy, jak człowiek, więc wykopując ją w celach czarnoksięzkich, trzymano się różnych zabawnych przepisów. I tak np. żeby nie słyszeć skarg i przekleństw zagniewanego ziela, zatykano sobie uszy, używano też dowcipnego podstępu, aby skutki tych przekleństw od siebie odwrócić. Odgrzebawszy do połowy korzenie, przywiązywano do nich psa, ten je do reszty wyciągał, na niego zatem spadały złorzeczenia i zemsta mandragory. Powiadają, iż wódz kartagiński Hannibal téj jadowitéj rośliny użył do zatrucia wina, którem wygubił znaczną część wojsk barbarzyńskich i tym sposobem łatwe nad niemi otrzymał zwycięztwo.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ.

Z DZIENNIKA MŁODÉJ DZIEWCZYNY

spisała **Br. Kuczyńska.**

WSTĘP.

Miałam obiecane przez kochanego mego ojczulka, że gdy przybędzie po mnie na wakacye, to pojedziemy najprzód na kilkodniową jaką wycieczkę w okolice naszego kraju, a potem dopiero do domu. Wybór miejsca był mnie zostawiony, to też myślałam nieraz nad tem, coby wybrać? Okolice Warszawy znałam już dobrze, ponieważ ile razy ojczulek mój był w lecie w Warszawie, to zapytywał mię, czy wolę pójść do teatru, cyrku, czy pojechać na pół dnia do Wilanowa, Natolina, lub też do innéj miejscowości, położonéj poza rogatkami miasta. Nigdy mi się nie zdarzyło wybrać jakiego widowiska, lecz zawsze wolałam nacieszyć się wsią, a poznać coś nowego.

Wesołe to były wycieczki, bo prócz nas dwojga brały w nich udział dwie moje koleżanki, które najbardziéj kochałam i które również wolały zwiedzić dawne pałace, ogrody, oddychać balsamicznym zapachem łąk i pól, niż śledzić sztuczne życie na scenie, przy sztucznych blaskach świec i w dusznem powietrzu. Cieszyłam się obiecaną przyjemnością ogromnie, rozpytywałam między znajomymi o różne miejscowości w naszym kraju, przekonałam się, że dużo ich jeszcze nie znałam, ponieważ jednakże wszystkich w jednym roku poznać nie mogłam, a wybrać coś trzeba było przed przyjazdem ojca, bo śmiałby się ze mnie, że jestem niezdecydowana, więc po długich namysłach, postanowiłam zwiedzić Puławy.

Słyszałam dużo o nich, a nawet czytałam tu i owdzie opisy, lecz głównie skłoniło mnie do tego wyboru opowiadanie méj koleżanki, która rok przeszły przepędziła tam całe dwa miesiące i nie mogła się nachwalić, jak tam prześlicznie i jak wiele rzeczy jest do widzenia w samych Puławach, jako też i w okolicy. Bałam się, czy tylko na to wszystko tych kilku dni przeznaczonych starczy, lecz z drugiéj strony ufałam, iż prośba jedynaczki, a nadewszystko dobra cenzura i nagroda z promocyą do 5-téj klasy wpłyną tak dobrze na mego drogiego ojczulka, że w razie potrzeby nie będzie żałował jednego lub dwóch dni, aby mi bez zbytecznego zmęczenia wszystko pokazać.

Mogę sobie to przyznać, że uczyłam się przez cały rok pilnie, nietylko dla zasłużenia sobie na tę przyjemność, lecz również z prawdziwéj ochoty zapoznania się ze wszystkiemi temi przedmiotami, jakie są wykładane na pensyi, abym potem mogła w domu sama się daléj kształcić z książek; a biblioteka w naszym domu była doskonale zaopatrzona.

Myślę sobie nawet czasem o uniwersytecie, ale to mi się pewno nie uda, bo niestety! jestem jedynaczką, a choć nie mam matki, coby mnie pieściła, ale za to ojczulek w dwójnasób kocha i jakkolwiek pragnie, by jego córeczka dużo i dobrze umiała, bo się bardzo o to stara, lecz wiem, że mnie zagranicę saméj nie puści, obawiając się o moje zdrowie — no, zatęskniłby za mną pewno!... chyba, że się to może tak uda, iż namówię ojca, żeby się na ten sam wydział zapisał, co i ja i chodzilibyśmy razem. Naturę lubimy oboje, a więc wybierzemy naturalnie wydział przyrodniczy; doprawdy, to jest pyszna myśl, muszę już zacząć teraz nad tem pracować, by ojczulka do tego zachęcić, a że mnie kocha, więc pewno to uczyni.

Poznam Szwajcaryą, bo naturalnie tambym pojechała, zwiedzę góry, te wspaniałe, olbrzymie Alpy, cudne górskie jeziora i po lodowcach możebym chodziła. Wszystko to w połączeniu tak ponętnie wygląda, że postanawiam sobie stale o tem myśleć, uczyć się, jak można najpilniéj, a może się spełni to, czego tak bardzo pragnę. Ale na lato zawsze wracalibyśmy do mojéj ukochanéj Dziadowszczyzny, gdzie się urodziłam, gdzie moja mamusia spoczywa i gdzie każdy wieśniak zna mnie i lubi.

Jakżeż daleko odbiegłam od Puław, a jednak z wielką chęcią pisać o nich będę, bo zwiedzanie ich i okolic zrobiło mi niewypowiedzianie wielką przyjemność, radabym wszystkim opowiedzieć o tem, co widziałam, by zachęcić do pojechania tam i obejrzenia tego, co rzeczywiście godne jest widzenia. Po skończonym popisie, rzuciłam się w objęcia najdroższego mego a dawno niewidzianego ojca, złożyłam nagrodę w ręce jego i cieszyłam się, że go nareszcie widzę. Po kilku chwilach ojciec zapytał:

— A więc jedziemy?...

— Do Puław! — była odpowiedź moja.

— Rad jestem, że sobie tę miejscowość wybrałaś, bo i ja z przyjemnością zobaczę miejsce dawniejszego mego pobytu.

Na te słowa przypomniałam sobie dopiero, iż ojciec mój po ukończeniu medycyny, w tym celu, aby wieśniakom zawsze umieć nieść pomoc, pojechał do Puław dla zapoznania się z teoryą gospodarstwa i przebył tam dwa lata. Jak to dobrze, że ojciec zna Puławy, a zapewne równie doskonale i okolice, bo ja pragnę poznać każdy zakątek ciekawy, nic nie ominąć godnego widzenia, może już tam więcéj nie będę, tobym żałowała bardzo, gdybym się późniéj dowiedziała, żeśmy coś ominęli.

— Nie bój się, Wańdziu! wszystko ci pokażę i objaśnię, a ty tylko staraj się dobrze słuchać, i pamiętać. — O! ja nietylko słuchać, lecz i zapisywać główne szczegóły będę, aby to sobie późniéj porządnie opracować i na pamiątkę schować. Tem lepiéj, bo rzeczywiście jest tam dosyć do zapamiętania, a główka w podróży narażona jest na tysiączne roztargnienia, więc łatwo wyśliznie się to, co powinno się było w niéj dłużéj przechować. Ojciec widocznie był zadowolony z téj mojéj chęci do zapisywania ciekawych szczegółów, żartował jednak troszkę, gdy pokazałam mu przeznaczoną na ten cel małą książeczkę z ołóweczkiem, która zmieścić się musiała w skórzanéj torebce, aby była zawsze blisko. Gdy jednak przypomniałam, że literki moje to podobno „stębenek", tak są drobniutkie, uznał, że dużo, dużo mądrych rzeczy w książeczce téj pomieścić się może i że jest pod tym względem zupełnie spokojny, tylko żebym prócz torebki z tak cennym przedmiotem nie zapomniała o przewieszeniu przez ramię pasków z miękką a ciepłą chustką, która może się wybornie przydać. Przyrzekłam uroczyście nie zapomnieć o tem, a nawet gotowa byłam wziąć kalosze i parasol, lecz od tych przedmiotów byłam wspaniałomyślnie uwolniona.

Kufer z memi rzeczami był już zupełnie zapakowany, a miał być wprost do domu wysłany, ponieważ umówiliśmy się z ojcem, iż weźmiemy tylko niezbędne rzeczy do małéj o dwu podziałach walizki, aby nie mieć kłopotu z pakunkami.

Dzień jeden mieliśmy jeszcze w Warszawie przebyć, ponieważ ojciec, przyjechawszy z daleka, miał różne interesa do załatwienia, a i sporą gromadkę osób do odwiedzenia. Nie martwiło mnie to bynajmniéj, ponieważ nie wszystkie koleżanki rozjeżdżały się zaraz, a przytem miałam jeszcze prośbę do ojca, którą chciałam wcześniéj załatwić, aby być pewną, czy przystanie na nią, czy też nie. Chodziło mi o zabranie na tę projektowaną wycieczkę koleżanki mojéj Broni R., którą bardzo lubiłam, chociaż od roku dopiero zbliżyłyśmy się ze sobą, a ona nawet była przychodnią, ja zaś stale pomieszczoną na pensyi. Gdyby ojczulek zgodził się na zabranie jéj, to dzień choć jeden potrzebny był dla przygotowania się do tego.

Poprzednio już otrzymałam pozwolenie zaproszenia jéj na wakacye do nas, co też uczyniłam jaknajprędzéj, a ona po naradzie z matką swą, ojca już nie miała, obiecała pojechać ze mną; o wycieczce jednak mowy wówczas nie było. Ponieważ chciałam się o tem sama z ojcem rozmówić, więc gdy już ułożyliśmy wszystko, ucałowałam ojca serdecznie i szepnęłam, że mam jeszcze prośbę do niego, a mianowicie o zabranie Broni do Puław, że mnie będzie jeszcze przyje-

mniéj, gdy i ją będę miała i że zamiast, żeby się miała z nami zjeżdżać na stacyi Puławy w umówiony dzień, będzie daleko lepiéj, gdy odrazu z nami się wybierze. Dobry mój ojczulek nie stawił najmniejszego oporu w tym względzie, prosił tylko żartobliwie, abym przypilnowała wzięcie szala, a następnie powiedział mi, iż sam miał tę myśl, lecz chciał mnie zostawić pierwszeństwo i dopiero w razie, gdybym się nie była zdobyła na tę śmiałość, czego się po mnie nie spodziewał, odezwałby się z tą propozycyą, bo wie doskonale, jaką to przyjemność zrobi jego jedynaczce. Prosił mnie też, by się mógł widzieć z Bronią, zaprosić ją na tę wycieczkę od siebie, a potem razem z nią pojechać do jéj matki, i osobiście o pozwolenie prosić.

Ucieszona tak łatwem otrzymaniem tego, czego pragnęłam, choć doprawdy mogłam była to przewidywać, znając nieocenioną dobroć ojca mego, pobiegłam poszukać Broni, która również obdarzona nagrodą zabierała się już do wyjścia, chcąc radością swą podzielić się z ukochaną matką. Zatrzymała się jednak i wraz ze mną udała się do salonu, gdzie ojczulek na nią oczekiwał. Gdy usłyszała o propozycyi jechania do Puław, zarumieniła się i oczy jéj zabłysły radością, którą też czynnie okazała, rzucając mi się na szyję i całując mnie gwałtownie. Potem w kilku słowach serdecznych podziękowała ojcu, lecz zarazem powiedziała, iż mateczki swéj spytać musi, czy jéj na to pozwoli, a gdy ojciec oświadczył, iż właśnie ma zamiar wraz z nią i ze mną zaraz tam się udać, radość jéj nie miała granic.

Za chwilkę byłyśmy ubrane i natychmiast pojechałyśmy na oddaloną dosyć ulicę, gdzie właśnie matka méj kochanéj Broni miała pracownię pończoch. Bywałam u niéj już dawniéj, gdyż poczciwa pani przełożona, znając osobiście panią R. pozwoliła mi czasem ją odwiedzać. To też wysiadłszy z dorożki, biegłam naprzód nawet przed Bronią, aby p. R. o przybyciu ojca uprzedzić. W krótkiéj rozmowie, jaka nastąpiła po przedstawieniu wzajemnem, okazało się, że ojciec mój znał panią R. dawniéj, gdy była w zupełnie innem położeniu. Nie wiedziałam nawet o tem, że p. R. była kiedyś bardzo zamożna, że w skutek nieprzyjaznych okoliczności majątek stracił jéj mąż, co nawet przyśpieszyło zgon jego. Znając te wszystkie szczegóły, ojciec mój cenił wysoko panią R., że nie upadła na duchu, lecz odważnie wziąwszy się do pracy, daje wykształcenie córce i synowi, który w tym roku właśnie już do 8-éj przeszedł klasy, a jako wzorowy uczeń miał świetną propozycyą wyjazdu na wieś do bardzo zamożnego domu, za sowitem wynagrodzeniem, w celu przygotowania chłopczyka do pierwszéj klasy.

Odrzucił jednak tę propozycyą, ponieważ wiedział, że kochanéj jego mateczce smutnoby było z obojgiem dzieci się rozstawać. Co zaś do Broni, ta zostać nie mogła, bledziutka buzia i sine obwódki pod oczyma dokładnie okazywały, iż organizm jéj potrzebuje wzmocnienia. Ponieważ zaś ja obiecywałam, że cera jéj do rozwijającéj się róży podobna będzie, gdy się na moje ukochane ukraińskie, mlekiem i miodem płynące niwy dostanie, więc zacny chłopiec nie żałował swéj ofiary i cieszył się myślą, jak z mateczką swoją na spacer rano i wieczór chodzić będzie, mając cały dzień z resztą zajęty, bo właśnie prosili go o przygotowanie do klas dwóch chłopców, jednego z matematyki, a drugiego z łaciny, które to przedmioty bardzo lubił.

Ojciec zachwycony był całą rodziną, ładem i czystością, jaka panowała w malutkiem mieszkanku, uszczęśliwiony był wyborem mojem w przyjaźni i cieszył się tem, że widocznie nie gonię za pozorami, lecz umiem się poznać na prawdziwéj wartości. Dziwi mnie to, że ojciec nie uważał tego za rzecz zwyczajną, czyż mogło być inaczéj, skoro od najmłodszego wieku i mateczka i ojciec przyzwyczajali mnie do tego, bym wszystkich ludzi uważała za równych sobie. Sami nie wywyższali się nad nikogo nigdy, ceniąc w każdym człowieka, to też i ja inaczéj przecież nie mogę czynić. Powiedziałam to ojcu, po wyjściu od p. R. uśmiechnął się na to poważnie i odrzekł:

— Nie zawsze to tak bywa, moja droga Wańdziu, że nauki zaszczepione w dzieciństwie przechowują się, gdy dziecko pójdzie między obcych; to też cieszę się niewymównie, że nie zatraciłaś nic z rad i wskazówek ci udzielanych i że na całe życie pozostaniesz istotą skłonną do uniesień, lecz zawsze poczciwą i szanującą zasługi. Mógłbym był wprawdzie pozostawić cię w domu, przyjąwszy odpowiednie do kształcenia osoby, lecz właśnie obawiałem się, że kochając cię zanadto, mogę nieraz pobłądzić i skrzywić twój charakter. Wolałem więc oddać cię między ludzi, byś poznała życie koleżeńskie, które jest życiem społecznem na małą skalę, a że cię oddawałem pod opiekę rozumnéj i szlachetnéj przełożonéj, więc do pewnego stopnia byłem spokojny. Z tego, co teraz widzę, wnoszę, iż mogę być zupełnie spokojny o twą przyszłość.

Przyznałam ojcu słuszność pod tym względem przynajmniéj, że z największą pewnością nigdy nikogo dla tego cenić nie będę, że jest majętny. Rozmyślałam sobie nad tem po rozstaniu się z ojcem, który odwiózłszy mnie na pensyą, pojechał załatwić swoje sprawunki i interesa, a wkrótce położyłam się, bo byłam wzruszeniem tego dnia zmęczona, nie mogłam jednak zasnąć odrazu i przesnuwałam sobie w myśli to, co mi ojciec mówił.

Nie, ja się doprawdy pod tym względem nie zmienię, i przy poznaniu kogo nigdy nie będę myślała, wśród jakich okoliczności żyje, lecz jaki ma umysł, serce; pociąga mnie zawsze urok duchowy, myśl jasno wypowiedziana, a nie piękna suknia, lub uroda jakiéj osoby. Gdy pierwszy raz zobaczyłam w klasie Bronię R., to zaraz pomyślałam, że ją kochać będę, tak mi się spodobała, taki ma miły wyraz oczu, tak spokojnie i uprzejmie odpowiadała wszystkim, a widać było, że żywa i serdeczna być musi. Po kilku dniach zbliżyłyśmy się, a nawet tak się jakoś stało niechcący, że miejsca nasze obok siebie wypadły. Koleżanki moje z przeszłego roku dokuczały mi z początku, nazywając „zmienną" „chorągiewką", to stosując przysłowie „nowe sitko na kołek". Lecz ja sobie z tego wszystkiego nic a nic nie robiłam, lubiłam je i lubię bardzo, lecz Bronię nad wszystkie przekładam; teraz się już przyzwyczaiły i poprzestają na życzliwości, jaką je darzę.

Podług zdania samolubów, nie powinnam kochać Broni, bo ona mi prócz swego uczucia nic innego dać nie może; ale ja właśnie kocham ją za to jeszcze goręcéj, że nic od niéj przyjmować nie potrzebuję, że ją mogę zabrać do siebie, podzielić się wszystkiemi przyjemnościami, jakie mam na wsi. Z jakąż radością myślę o przejażdżkach, jakie sobie będziemy urządzały w moim ślicznym kabryoleciku, zaprzężonym rączemi bułanemi kucami! Z początku sama powozić będę, choć ona mojéj sztuce powożenia nie bardzo dowierza, zdziwi się, to pewna, ale ja przecież i wyglądam na to, że potrafię końmi powodować. Ojczulek co prawda zawsze lęka się o moje zdrowie, bo trochę bladą mam cerę, wcale jednak nie jestem szczupła, a chociaż wzrost mój nie bardzo okazały, nie niknę jednak między koleżankami. Kończę już wprawdzie lat 15, lecz spodziewam się jeszcze urosnąć a bardzobym chciała, bo nie ładniebym wyglądała z ojczulkiem pod rękę, gdy to do owego uniwersytetu chodzić będziemy. Jeszcze nic o tem nie wspomniałam, ale w drodze postanowiłam zacząć namowy; gdyby to tak jeszcze i Bronia pojechała z nami, szczęście moje byłoby zupełne.

(d. c. n.)

SZCZĘŚLIWE POWALANIE,

przez Wielisława.

Mam wnuczka Walusia i często słyszę, jak go słusznie matka łaje, że nieuważny, trzpiot, marnotrawca, swawolnik, nie umiejący się pohamować w szale zabawy, wiecznie gotów zwalać, rozedrzeć, choćby najnowszą sukienkę, bynajmniéj

na to nie zważając, że nie on to ją sobie sprawia, lecz rodzice za pieniądze z ciężkiéj pracy.

To mi jednak przypomina, że nie każde zwalanie wstydzi i hańbi. Uwalanie się nieuchronne przy wielu zajęciach i pracy, jak kominiarzy, młynarzy, kowali, ślusarzy, tylko sukni szkodzi, tem więcéj uwalanie się przy niesieniu komu ratunku, pomocy, tylko zaszczyt nam przynosi i nie należy wtedy oszczędzać choćby najpiękniejszéj sukni.

Miałem kolegę pana W. który jeszcze żyje gdzieś w swoich dobrach na wsi; był to syn bardzo niezamożnych rodziców. Ojciec jego, będąc profesorem, wcześnie nawiedzony niemocą w nogach, musiał się podać do dymisyi i żyć tylko z połowy szczupłéj emeryturki. Ciężko więc im nadzwyczaj przychodziło wychowanie syna, jakkolwiek ten ile tylko mógł dawał sobie radę, aby jaknajmniéj kosztować rodziców. Poczciwe matczysko, zapadłszy na zdrowiu od ciężkiéj pracy przy tem borykaniu się z przeciwnym losem, wkrótce i zmarła, i to właśnie w chwili, kiedy w skutek wzorowego sprawowania i dobrych nauk jedynak został rządowym stypendystą i wysłany na uniwersytet petersburski. Bolesnem było rozstanie się z ojcem kochającego syna, ale cóż było robić, trudno poświęcać całą przyszłość pomyślniejszą dla doglądania kaleki, nie mogąc mu istotnéj przynieść pomocy, ojciec byłby na to nie pozwolił nigdy, i gryzł jeszcze gorzéj; umieściwszy zatem biednego chorego u pewnéj poczciwéj kobieciny, co się opieki nad nim podjęła, sam na miejsce przeznaczenia odjechał.

Skoro tylko jednak w bogatem mieście, w kilku możnych domach korepetycye otrzymał, przysyłał ojcu ile tylko mógł, dla powiększenia wygód i ulżenia w smutnym jego losie.

Za powrotem zyskawszy posadę, jakkolwiek z bardzo szczupłą pensyą, trzystu rubli nie przenoszącą, poczciwy syn zajął się gorliwie pielęgnowaniem chorego. Nie palił cygar i papierosów, nic nie pijał, prócz wody i mleka, nie stroił się, nie bawił, nigdzie bez konieczności nie chodził, a tylko dbał o to, aby ojciec miał wszystko, do czego w lepszym bycie był niegdyś przyzwyczajony.

Pewnéj wiosny zwiększyły się cierpienia w nogach starego; doktorzy byli zdania, że może przeniesienie paralityka z dusznego powietrza po tych ogromnych domach w Warszawie ulży mu cokolwiek na zdrowiu. Syn więc niebawem zajął się wyszukaniem dlań jakiego podmiejskiego mieszkania z ogrodem.

Lecz co dla bogatych przychodzi bez trudności, to biednym idzie oporem. Mieszkania letnie w cenach podskoczyły, do najęcia ich było w tym roku mało, ledwo więc syn zacny znalazł pokoik u ogrodnika przy willi pewnego wielkiego pana; ale że powietrze było wyborne, przepełnione wonią pomarańcz, cytryn wystawionych z oranżeryi, to go zdecydowało do przeniesienia tam drogiego ojca.

Sprawiwszy mu fotel na kółkach, aby łatwo go można było wywozić na słońce, sam po godzinach biurowych codzień tu przychodził, bawił słabego drobnemi wiadomościami, co się rozchodziły po bruku warszawskim, czytywał mu ulubioną gazetę, szczególniéj zaś nigdy nie zapomniał przynieść choremu świeżutkiego rumianego bochenka chleba warszawskiego, bo taki mu jedynie pachnący, ciepły, z wiejskiem masłem smakował, i na zdrowie służył. Że przy tem noszeniu nieraz mimo ostrożności ubranie pobielił, gniewało to niezmiernie stróżkę Wojciechową, co go obsługiwała. Nieraz pana W. za to wyłajała, narzekając: „A to pan chodzi jak młynarz jaki, potem człowiek doczyścić się sukien nie może, bo jak pan zmoknie, robią się z tego kluski”.

Dobry syn śmiał się jedynie ze zrzędzenia staréj a swoje robił.

Lecz te peregrynacye z bochenkiem chleba na piersiach lub pod pachą nie uszły uwagi dygnitarza, właściciela willi. Był to pan możny, bogaty, zajmujący jeden z pierwszych urzędów w kraju, ale w ogóle mało lubiony, że był za surowy i w gniewie gwałtowny. Widział on nieraz, chodząc po swoich szpalerach, poczciwego syna, jak z chlebem wracał z miasta, ojca siedzącego na słońcu witał, całował, obsługiwał, że biednemu paralitykowi nieraz aż łzy rozrzewnienia z oczu płynęły. Pewnego więc dnia ów dygnitarz, otworzywszy furtkę od ogrodu, wyszedł przeciw przybywającemu z miasta z nieuchronnym chlebem, i łagodząc ile mógł wyraz zawsze surowéj twarzy, stojąc przed nim, nagle zapytał:

— Powiedz mi pan, kto jesteś?

Biedny urzędnik myślał, że ojciec się może właścicielowi mimowolnie czem naraził, że im każe ustąpić z willi, lecz lubo bardzo zmieszany, z przyzwoitem uszanowaniem na wszelkie pytania odpowiadał.

— Podobasz mi się pan — mówił krótko dygnitarz — boś pan dobrym i poczciwym synem.

Urzędnik W. stanął zarumieniony cały, i z zająknieniem się mówił:

— Alboż to nie najmilszy dla syna obowiązek? a wszak na wychowanie moje ojciec wraz ze ś. p. matką od ust odejmowali sobie.

— Dusze nikczemne i nizkie nie znają téj przyjemności — przerwał dygnitarz — tacy tylko kochają siebie, lubią brać, ale nie dawać. Wdzięczność jest cechą dusz podniosłych, wybranych, szlachetnych. Zaprowadź mnie pan do ojca, musi to także być człowiek zacny, chcę go poznać. Bo to drzewo sądzić można po owocach — dodał — a jabłko niedaleko pada od jabłoni. Są gniazda cnoty i gniazda występku.

Gdy do chorego się zbliżali, dygnitarz kazał sobie podać stołek i porozmawiał z nim dłużéj. Powtarzało się to przez dni kilka. Raz dygnitarz zapytał ojca, czy syn papierosów nie pali; ten mu odpowiedział, że się ustrzegł od tego nałogu, dosyć kosztownego na ubogą kieszeń.

— Ja tak samo sądzę — mówił zamyślony właściciel— lubo sam fajkę i kosztowne nawet cygara palę, lecz to skutki nawyknienia na wojnie, gdzie pośród zadżumionych i cholerycznych nieraz przebywałem. Jednak ile razy widzę młokosa o szczupłéj pensyjce, palącego papierosa, mówię sobie: dudek. Jedna fajka to samo kosztuje, co dziesięć papierosów, których nigdy nie palę. Jeśli nie jest dudkiem, to może czem gorszem, bo jakby mu na papierosy brakło np. dostawszy dymisyą, pewnoby się zawahać bardzo nie zdołał nad brzydkim postępkiem jakim, byle mieć środek do zaspokojenia ulubionego nałogu. Starsi — mówił daléj — rodzice i wychowawcy, nieraz przez niedbalstwo pozwalają młodzieży niebacznie nabierać takich zgubnych nałogów; *principis obsta* dwa tysiące lat temu powiedział, nie pamiętam któryś z wielkich pedagogów, jakich dziś nie mamy i miał racyą. Rak, toczący organizm, w początku wypalony ginie i rzadko kiedy powraca. Pan dobrze wychowałeś syna — zakończył i odszedł.

W kilka dni potem dygnitarz położył zdziwionemu paralitykowi na kolanach list w kopercie wielkiéj urzędowéj i swój bilet, mówiąc:

— Z rąk ojca będzie to najprzyjemniéj przyjąć poczciwemu synowi.

Na bilecie dygnitarza był dopisek: „Za bochenki chleba dobremu synowi, przez najmilsze sercu jego ręce — Nominacya, na radcę prawnego w mojéj władzy”. W kopercie było zamianowanie najformalniejsze na korzystną posadę, z pensyą tysiąca rubli.

Inni na téj posadzie mieli trzy razy większe od téj pensyi zyski. Wzorowy syn ani o tem pomyślał i pierwsze powiększenie pensyi posłużyło mu na wysłanie ojca do Karolowych warów, o czem przez lat dwadzieścia marzył nadaremnie.

Wszakże organizm starego profesora już był zanadto wycieńczony, na nic się ta kuracya nie przydała, umarł w drodze, powracając z Karolowych warów. Jednak odtąd karyera sama szła, jak to mówią, jak po maśle. Za protekcyą wielkiego dygnitarza został niedługo mianowany dyrektorem wydziału, potem prezesem jednéj z obywatelskich instytucyj. Nie piszę wymarzonych bajeczek, ale fakta prawdziwe. Eks

Wianek.

prezes W. może powiedzieć sobie, żyjąc ze znacznéj emerytury w dobrach własnych:

Szczęśliwem było sukien moich chlebem powalanie. My powiemy, że Bóg w nim nagrodził dobrego syna, do czego ma On różne sposoby, jak wszędzie i zawsze.

WIANEK.

Z zielonych, majowych gałązek uplotę
Wianuszek niewielki, ot taki!
Lecz w niego powplatam promienie te złote,
Co rzuca słoneczko na krzaki.
Bo z każdym listeczkiem, co zerwę do wianka,
Smug światła jasnego uchwycę,
Ot tego, co lśni się z wczesnego poranka,
Muskając promieniem me lice.
A wszystko to złoto, co spada tam z góry,
Zatrzymam jak skarby na głowie;
Nie zlęknę się wtedy ni burzy, ni chmury,
Niczego, co smutkiem się zowie.
Ten promyk schwycony myśl dobrą sprowadzi,
Od troski, od złego ustrzeże;
I z serca i z głowy myśl płochą wygładzi,
I prawdy da święte puklerze.

Z. Mordwska.

Poselstwo, ofiarujące koronę Polski Kazimierzowi, synowi Kazimierza Jagiellończyka.

(Komnata w zamku krakowskim. W głębi, pod oknem, stół założony papierami i księgami; z prawej strony widza, na przodzie sceny klęcznik, nad nim krucyfiks; z lewéj strony widza drzwi wchodowe, na oścież otwarte; u wejścia stoi kilku panów polskich z odkrytemi głowami, z jednym z posłów na czele; królewicz postępuje na ich spotkanie, ruchem ręki zapraszając ich do wnętrza komnaty).

Poseł główny.

Zaliż wolno nam, książę, przestąpić te progi?

Królewicz *(uprzejmie).*

Przecz pytają mię o to ojcowie narodu?
Wspólnéj macierzy spokój zarówno nam drogi;
Przybywacież tu w skutek ważnego powodu?

(poselstwo wszedłszy staje na środku sceny, mając przed sobą posła głównego i królewicza, trzymającego się zawsze lewéj strony).

Poseł główny.

W téj chwili, królewiczu, gróźb nad nami niema,
Czerpiąc jednak natchnienie z księgi doświadczenia,
Myślą sięgamy w przyszłość!

Królewicz *(wskazując ku niebu).*

Bóg ją w dłoni trzyma!

Poseł główny.
Skrzepić ją mocen władca z Bożego ramienia:

Królewicz *(z powagą).*
Rodzic mój pomazańcem.

Poseł główny *(skłaniając się).*
Zwątliły go lata,
Snadniejby młode skronie dźwignęły koronę.

Królewicz *(z powagą).*
Zasię nam o tem sądzić!

Poseł główny.
Gdy starszego brata
Wzięły nam obce ziemie, w twoję, panie, stronę
Zwracamy zerca pełne radosnéj nadziei:
Utul nas, niby orzeł strwożone pisklęta!
Ród wasz, jak dąb stuletni, od burz i zawiei
Niech nas w tobie osłoni.

Królewicz *(surowo).*
Naród nie pamięta,
Że zły syn nigdy królem dobrym się nie stanie...
(z czułością) Życie ojca mym skarbem, chwałą jego władza!

Poseł główny.
Zachowaj go do końca przy swem sercu, panie!
Wszak w mądrych rządach syna ojciec się odradza...
Naród, wpatrzon z miłością w odrośl Jagiellonów,
Gotów będzie dać życie za swego monarchę,
A ceniąc wartość siejby z otrzymanych plonów,
Uczci w ojcu królewskim swego patryarchę.

Królewicz *(z pełną oburzenia mocą).*
Pragniecie żmiję pychy obudzić w mem łonie,
Głaszcząc ją ponad miody pochlebnemi słowy!
Chcecie, żeby wypełzła w skradzionéj koronie,
Zdartéj z głów ojca, matki, króla i królowéj!...
To grzech! to zamach stanu!...

Poseł *(z widocznem zmięszaniem).*
Jesteś panie w błędzie...

Królewicz *(z nadzwyczajną mocą).*
Do królobójczych zbrodni wiodą takie rady —
Za to śmierć!...

Poseł główny *(z trwogą).*
Dobre chęci miéj książę na względzie!...

Królewicz *(spostrzegając trwogę poselstwa, przechodzi z gniewu do pełnego litości tonu).*
Nie drżyjcie! was nie zdradzę, niezdolny do zdrady...
(po chwili).
Najtrudniejsze nad samym sobą panowanie;
Tę tylko władzę pragnę posiąść z łaski Boga,
Módlmy się o nią wszyscy!

Poseł główny *(klęcząc obejmuje nogi królewicza, całe poselstwo przyklęka).*
O! dzięki ci, panie!

Królewicz *(z pełną słodyczy powagą).*
Oślepiła was żądza przewrotu złowroga;
Najczęściéj wpada w przepaść, kto chce się piąć w górę.
(po chwili).
Ojcu memu i braciom służcie odtąd wiernie!
(zwracając ku Chrystusowi wejrzenie).
Jam dawno przeniósł niebo nad ziemską purpurę,
A nad wszystkie korony Chrystusowe ciernie.
(Żegna ruchem ręki poselstwo, które cofa się ku drzwiom i wychodzi. Królewicz klęka u stóp krzyża i wpatrzony w oblicze Chrystusa, pogrąża się w modlitwie).

Natalia Sokołowska.

GWIAZDA SUDANU.

Przygody podróżników w Afryce środkowéj.

(Dalszy ciąg).

Spokrewniony blizko z wielkorządcą innéj znacznéj prowincyi, Achmet el Bakai ogromny wpływ wywiera na wszystkie ludy, zamieszkujące Sudan i Saharę. W Timbuktu stoi na czele władzy, jest zarazem przedstawicielem i opiekunem ważnych spraw handlowych, ma stosunki z tego względu z największemi miastami afrykańskiemi. Oprócz tego własną zasługą pozyskał nazwę *faki*, oznaczającą uczonego i biegłego w pismach. Chociaż to niejednego zapewne zadziwi, dodamy tu, że uczeni na wybrzeżach Nigru otaczani są czcią i uszanowaniem. Wreszcie należy do kasty kapłańskiéj i nosi tytuł *marabuta*. Oto są powody hołdów, które mu składają mieszkańcy miasta Timbuktu.

Utrudniało to wielce naszę przechadzkę, zwolna posuwaliśmy się wązkiemi ulicami, gdyż tłumy wielbicieli szejka cisnęły się do niego i drogę nam tamowały. Czasem przychodziło do tego, że Achmet el Bakai musiał nas wyciągać z tłoku, abyśmy się nie podusili. Bylibyśmy jednak, pomimo tych przeszkód, obejrzeli dnia tego całe miasto, gdyby niespodziewane zdarzenie nie powołało nas nagle do domu. Ale o tem późniéj.

Timbuktu dzieli się na siedm osobnych dzielnic, wyraźnie od siebie odgraniczonych. Największe znaczenie mają: Sankore, Sangugu, Sarahaina i Bagindi. Sankore leży od strony północnéj, zamieszkują tam wyłącznie wyżsi dygnitarze, po większéj części ludzie biali, Arabowie i Tuaregowie. Sangugu, dzielnica południowa, jest siedliskiem kupców. Bagindi zajmuje najniższą część miasta, podczas przyboru Nigru zwykle bywa zalana całkowicie, jak nadbrzeżne miasta holenderskie.

— Gdy woda przybierze w rzece — mówił p. Lemercier — Timbuktu zamienia się na miasto portowe. Widzisz pan ten jar, przytykający prawie do murów wielkiego meczetu? Woda wówczas wypełnia go po brzegi i rozdół ten łączy miasto Timbuktu z portem Kabara, zupełnie nakształt kanału. Można wygodnie wodą odbywać tęż samę drogę, którą państwo przebywaliście lądem. Byle do Nigru dotrzeć, płynie się potem przepysznie z prądem rzeki. Tylko że się spotyka po drodze parę wodospadów dość gwałtownych, no... i mieszkańcy nadbrzeżni nie zawsze są gościnni i radzi białym przybyszom. Zapewne, żegluga nie jest tak bezpieczna i przyjemna, jak na Sekwanie parowym statkiem.

Budynki w Timbuktu nie są zbyt gęsto skupione. Nie pozostało tam już żadnych śladów panowania dawniejszych władców z plemienia Sonraisów, ani obronnych fortyfikacyj, wzniesionych podczas zaboru marokańskiego, bo Timbuktu niejednokrotnie przechodziło z rąk do rąk i miało niegdyś daleko okazaléj wyglądać. Jedynemi zabytkami téj minionéj świetności są meczety Sidi Jahia, Sankore i Sangereber. Ten ostatni pochodzi z XV wieku i zbudowany był przez Maurów z Grenady. Architektura jego jest w stylu czysto maurytańskim i wcale piękna.

Szejk Achmet wszedł do tego meczetu odmówić modlitwę, przypadającą na trzecią godzinę po południu. Potem poszliśmy razem do imama miejscowego, a ten nas uczęstował „wodą Simsim”, to znaczy herbatą, w filiżankach po europejsku podaną. Kupcy angielscy zasypują Sudan herbatą, ale tak obrzydliwego gatunku, że z trudnością mogliśmy przełknąć napój, który szejk i imam z wielkim smakiem popijali.

Obejrzałem potem szczegółowo meczet. Kręte i fantastyczne litery arabskie dostarczały budowniczemu pomysłów do ozdób rzeźbionych na ścianach meczetu. Uderzył mię szczególnie napis, umieszczony ponad drzwiami wchodowemi, wyrobiony bardzo pięknie wypukłą rzeźbą. Ale co miały znaczyć te esy floresy? Na nieszczęście nie znam arabskiego

języka i musiałem się odwołać do uprzejmości p. Anatola, który jest biegły we wszystkich językach wschodnich.

— Zaraz ja to panu wyłożę — rzekł z uśmiechem — pierwszy wiersz jest dosłownem zdaniem Koranu, znaczenie ma takie: „Świadczę, iż niema nic boskiego, oprócz Boga". W drugim wierszu mieści się znów ustęp z księgi pod tyt: „Poufne rozmowy proroka". Ustęp ten głosi, co następuje: „Poszukiwanie prawdy większą ma wartość w oczach proroka od modlitw, postów, pielgrzymek, i wojen świętych, dla sprawy Allacha przedsiębranych".

Podczas gdym zapisywał w pugilaresie piękne to zdanie, wujaszek Bak, idący obok mnie po prawéj stronie, zatrzymał się nagle i wykrzyknął radośnie:

— Mam go nakoniec! Raz przecież!

— Cóż takiego? — zapytałem.

— *Irak*, słynny irak!

— Co takiego? — powtórzyłem, lecz on nie zważał na zapytanie i mówił daléj:

— Wiedziałem na pewno, że rośnie w pobliżu Timbuktu. Podejrzywał to jeszcze Adamson, a Barth wszelkie wątpliwości rozstrzygnął, znalazł go i widział na własne oczy.

— Przepraszam pana—odezwałem się nieśmiało — ale nie powiedziałeś pan, co to jest ten słynny „irak"?

Na te słowa p. Bakhuysen odskoczył o parę kroków, wyprostował się na niziutkich swoich nóżkach i spojrzał na mnie wzrokiem piorunującym. Po chwili dopiero, gdy ochłonął nieco, uśmiech litości ukazał się na jego ustach i rzekł łagodnie:

— Zapomniałem, że pan nie jesteś botanikiem z powołania. Irak, kochany panie, to *capparis sodata*.

Nawykłem z czasem do scen podobnych. Ile razy wujaszek napotkał nowy jaki ciekawy okaz flory zwrotnikowéj, wpadał w zachwycenie i strasznie się oburzał, gdym ja wyznawał szczerze swoję nieświadomość. Czasem też po trochę w tem i przesadzałem, ażeby mu dać sposobność popisania się swoją wiedzą i wystąpienia z wykładem naukowym.

— Tak, tak — mówił daléj uroczyście — to jest *capparis sodata*, z rodziny kaparowatych. Owoc zwyczajnego kapara, który rośnie i w Europie południowéj, powszechnie jest znany, jako wyborna przyprawa do potraw. Ale ten gatunek ma szacowniejsze jeszcze własności. Spojrzyj pan na to drzewko, najpiękniejszą ozdobę ogrodu imama.

— W rzeczy saméj wspaniale wygląda.

— A nietylko wygląda pięknie, lecz najrozmaitsze ludziom pożytki przynosi. Drewno jest niezmiernie trwałe i do robót stolarskich wyborne, korzeń daje lekarstwo skuteczne na różne choroby i znakomicie wzmacnia zęby. Liście stanowią ulubiony przysmak wielbłądów, a owoc!.. skosztuj pan, rozgryź bez obawy tę jagodę, obaczysz!...

Ale ja nie miałem wcale ochoty brać do ust przysmaku, pomimo wszystkich swych nieocenionych zalet przeczuwałem, że mię uszczypnie za język, jak pieprz turecki. Nie chcąc jednak sprzeciwiać się poczciwemu wujaszkowi, wziąłem na odwagę i już zabierałem się rozgryzać sumiennie podaną jagódkę, gdy uratował mię wypadek niespodziewany.

Hałas jakiś powstał nagle na ulicy w pobliżu, gwar głosów zmieszanych, podniesionych, dał się słyszeć, jakgdyby wybuchła kłótnia gwałtowna. Obejrzeliśmy się niespokojnie dokoła. Spostrzegłem wkrótce wiernego Barbuszę, który olbrzymią swoją łapą pochwycił jakiegoś człowieka i trzymał mocno, chociaż tamten wyrywał się wszelkiemi siłami. Tymczasem, jak to zwykle bywa w każdem mieście, nietylko afrykańskiem, tłumy uliczne otoczyły ich gapiąc się i przyglądając.

Tknęło mię coś, jakby przeczucie, podszedłem bliżéj do tłoku i w jeńcu, wyrywającym się nadaremnie z potężnéj dłoni Beduina, poznałem mojego Karola. Biedny chłopak taką miał niezwykłą, dziwaczną powierzchowność, że go wzięto za podejrzanego włóczęgę, a dzielny Barbusza uważał za obowiązek wyręczyć policyą. Wyjaśniłem w kilku słowach pomyłkę i Barbusza wypuścił nieboraka z żelaznych kleszczy.

Karol musiał się zmęczyć poprzednio śpiesznym biegiem, bo był zdyszany, zziajany, dusił się prawie i słowa przemówić nie mógł. Kazałem mu usiąść i odetchnąć, w pierwszéj chwili obawiałem się, aby nam nie powtórzył słynnéj w dziejach greckich sceny owego żołnierza, który uwiadomiwszy rodaków o zwycięztwie pod Maratonem, ducha wyzionął.

Pocieszałem się myślą, że żadna bitwa nie odbywała się obecnie pod murami Timbuktu, zresztą, poczciwy mój Karol nie odznaczał się wojowniczem usposobieniem. Służył wprawdzie wojskowo, ale przez cały czas pozostawał w oddziale szpitalnym. Coprawda i cała armia belgijska od niepamiętnych czasów nie była czynną, Bóg nas chronił od wojen i zamieszek.

Tymczasem Karol dusił się ciągle i nie mogliśmy się słowa od niego dopytać. Wtem myśl świetna, genialna, zabłysła w głowie naszego botanika, wujaszka Baka, chwycił jagodę kaparową i parę kropel soku wcisnął w usta nieboraka. Warto było widzieć, jak mój Karol podskoczył nagle do góry; zupełnie, jak te dyabełki, co to w zabawkach dziecinnych za pociśnieniem sprężyny wyskakują z pudełka i susa dają w górę. Po chwili przyszedł zupełnie do siebie, a chociaż się strasznie jąkał, zwyczajem swoim, przemówił jednak:

— Ach!.. pa-pa-nien-ka!...

— Panienki tu niema — odrzekłem.

— Ach! panie dy-dy-re-kto-kto-rze! — taki tytuł dawał p. Bakhuysenowi.

— Czegóż chcesz od pana dyrektora? Mówże raz przecież.

— To ba-bar-dzo nie-do-do-do-bre, co mi pa-pan wło-żył gwał-tem do ust...

— Otrzeźwiło cię jednak. A teraz powiedz, poco tu przyszedłeś?

— Po pa-pa-na do-kto-kto-ra...

— Po mnie? Cóż się stało?

— Pani Gu-gu-gu-du-la pro-pro-si pa-pa-na.

— Po co? czy powiedziała?

— Ta-a-ak. Tyl-ko-ko-nie mo-o-o-żna mó-ó-wić pa-nu-dy-dy-dy-re-kto-ro-ro-wi...

— A czyż nie widzisz, że on tu stoi i słucha?

— To ja-a-ak-że zro-bi-bić?

— Mów jaknajprędzéj, mów, co się stało w domu! — wołał tymczasem wujaszek Bak, przyskakując do Karola.

Nieborak zawahał się chwilę, sam nie wiedział, jak tu pogodzić rozkazy pani Guduli z rozkazem stanowczym pana dyrektora, wreszcie wykrztusił:

— Pa-a-nien-ka ba-a-ar-dzo cho-cho-cho-ra!..

— Moja siostrzenica chora! mój Boże! Doktorze, nie traćmy czasu, śpieszmy!

V.

Choroba panny Katarzyny.

Biegliśmy pędem przez ulicę, ku niemałemu zapewne podziwieniu mieszkańców, w parę minut byliśmy na miejscu. Stan p. Katarzyny mocno mię zaniepokoił. Z opowiadania pani Guduli dowiedziałem się, że po powrocie od szejka zaraz się uczuła niezdrową, z początku usiłowała pokonać cierpienie, lecz w końcu dostała silnych dreszczów i ciotunia przerażona posłała po mnie Karola. W téj chwili chora miała jeszcze ręce zimne, jak lód, z czoła jéj spływały krople potu. Rodzaj choroby łatwo było poznać, miałem do czynienia z gorączką, pospolicie zwaną żółtą febrą, straszliwą klęską stref zwrotnikowych.

Przyczyny także nie potrzebowałem długo szukać. Przy końcu podróży, począwszy od Burum aż do Kabary, przebywaliśmy ciągle grunta wilgotne po świeżych wylewach Nigru. Z tych bagien, rozgrzanych promieniami zwrotnikowego

słońca, unoszą się najokropniejsze, zabójcze wyziewy. Niedarmo smutna ta kraina przezwaną jest przez podróżników „państwem gorączki". Ona tam bowiem w rzeczy saméj panuje wszechwładnie, śmierć i zniszczenie siejąc dokoła.

W obec tak ciężkiéj choroby, każdy lekarz w Brukselli, Antwerpii lub innem mieście, wezwałby kilku najznakomitszych kolegów na naradę, obawiając się brać na siebie odpowiedzialności podobnéj. Ja zaś w Timbuktu musiałem być odważnym, nie namyślając się więc długo, sam natychmiast dałem choréj ogromną dozę chininy, zawsze najskuteczniejsze w takim razie lekarstwo.

Wieczór zapadł tymczasem, silny napad gorączki nie ustępował, p. Katarzyna, tak zazwyczaj posągowo milcząca i nieruchoma, teraz okazywała straszliwy niepokój. P. Gudula namawiała ją, aby starała się usnąć, ja także byłem przekonany, że sen przyniósłby jéj ulgę. A tu pomimo spóźnionéj pory, była już bowiem godzina jedenasta w nocy, gwar i hałas nie ustawał ani na chwilę po ulicach.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Myśliwiec jakiś upolował niedawno w okolicach Płocka osobliwszego ptaka, nieznanego w naszym kraju, przysłał go więc do Warszawy, a tu znawcy przyrodnicy poznali w nim ptaka azyatyckiego, żyjącego zwykle na stepach, ztąd zwanego pustynnikiem, po łacinie *syrrhaptes paradoxus*. Należy on do rzędu grzebiących, kurowatych, chociaż wyróżnia się od nich znacznie, niektórzy też przyrodnicy mieszczą go w gromadce osobnéj, stanowiącéj łącznik pomiędzy kurami i gołębiami.

Ptak niezbyt duży, szary, o jaśniejszym brzuchu, oznaczony gdzieniegdzie brunatnemi i żółtawemi smugami, przypomina nieco kuropatwę. Zwykle w ojczyźnie swéj Azyi wędruje ogromnemi gromadami, przebywając znaczne przestrzenie. Nie pierwszy też raz zalatuje do Europy, ujrzano go tu w r. 1860 po raz pierwszy, a w r. 1863 bardzo liczne stada widziane były i w naszym kraju, i w różnych okolicach Europy, dostały się nawet do Anglii i Norwegii.

W niektórych miejscowościach ptaki rozgościły się na dobre i zabierały się do budowania gniazd. Lecz tak je wszędzie prześladowano, nie dawano spokoju, że odleciały i przez lat dwadzieścia kilka nie pokazywały się w Europie. Aż oto w tym roku przywędrowały znowu, bo z kilku miejsc już donoszono o pojawieniu się ptaków nieznanych, w których z opisu można poznać pustynniki azyatyckie.

Trudno odgadnąć, jaka może być przyczyna tak dalekich wędrówek owego ptactwa; według wszelkiego prawdopodobieństwa, zabrakło im w ojczyźnie obfitego pokarmu i obawa głodu zapędziła te stada na daleki zachód. Gdyby który z czytelników naszych zasłyszał o takich ptakach w okolicy, gdzie mieszka, prosimy bardzo, żeby nam o tem doniósł.

Łamigłówka głoskowa.

(Od Gołąbki pocztowéj dla Krasnolicy).

Szczególne ze mnie stworzenie:
Ilekroć głowę przemienię,
Postać cała się rozpływa
I istne tworzą się dziwa.
Skoro *pierwszą* głowę włożę,
Radość wszędzie mnie spotyka,
Wkładam *drugą:* żal się Boże!
Każdy ze wstrętem umyka.
Z *trzecią* jam obrazem siły,
Mogę stanowić podporę;
Z *czwartą* mię tylko wyśniły
Umysły słabe lub chore.
Z *piątą* mnie Rzymianie starzy
W domach stawiali na straży,
Z *szóstą* nazwę biorą moję,
Jeśli dobierze się dwoje.
Czy też Krasnolica miła
Już się troszkę domyśliła?

Łamigłówka zgłoskowa.

(Pegazowi skrzydlatemu ofiaruje Polska dzieweczka).

Z następujących zgłosek: a—a—bek—der—dra—jec—ko—ksan—le—ły—mo—niak—sarz—skar—tun — u — wy — ułożyć wyrazy: 1. Poseł słynny za czasów Bolesława Krzywoustego. 2. Tkanka roślinna. 3. Imię męzkie. 4. Gatunek małpy. 5. Jeździec dawniejszy. 6. Nazwa stepów bagnistych. 7. Ciecz rzeźwiąca. Początkowe i końcowe litery, czytane od góry do dołu, utworzą nazwiska dwóch bohaterów powieści, znanéj czytelnikom „Wieczorów".

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20 go.

Szarady:

Tu — li — pa — ny.

Łamigłówki zgłoskowéj:

Fürstenhof — Emilia — Lelewel — Indye — Czerwień — Yankes — Arak — Noskowski.
Felicyan — Faleński.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 20 na str. 154 w wierszyku „Deszczyk majowy". Czytaj zamiast:

Ciepły *deszczyk* powiał z deszczem
Ciepły *wietrzyk* powiał z deszczem.

TREŚĆ: Korzenie dziwostrętu (z drzew.) — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska. — Szczęśliwe powalanie p. Wielisława. — Wianek, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Poselstwo, ofiarujące koronę Polski Kazimierzowi, synowi Kazimierza Jagiellończyka p. Natalię Sokołowską. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowéj (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Bajka, wiersz p. Gabrycelę Jasieńską (z drzew.) — Najnowsza gra Antosia i jéj skutki p. M. Z. — Lalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Мая 1888 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11